

## II

### **Kleryczek**

#### **Moja wpadka z Abrahamem.**

Profesora biblistyki nazywaliśmy „Mojżeszem”. Znany był z ogromnej powściągliwości, spokoju, jakby ciągłego zamyślenia. Nawet moje potknięcie, które całą salę słuchaczy pobudziło do gromkiego śmiechu, w ogóle nie wytrąciło go z równowagi – ani nie drgnął, ani nie mrugnął okiem! Otóż podczas mojej choroby miał wykład o dwóch jakby kolumnach, na których opierała się Biblia (i cała religia możeszowa), a były nimi Prawo i Prorocy. Dlatego też, jego zdaniem, na górze Tabor obok przemienionego Jezusa mogli pojawić się z Otchłani tylko ci dwaj mężowie: Mojżesz i Eliasz. Ksiądz profesor postanowił sprawdzić, czy tę naukę przyswoił sobie także kleryk, który nie był na wykładzie, to znaczy właśnie ja (znalazł mnie na liście). I usłyszał ode mnie, że na górze Tabor pojawili się w obłoku Eliasz i... Abraham! Do dzisiaj nie wiem, dlaczego tak odpowiedziałem. Niedługo spotkamy się z moim wykładowcą w Niebie i myślę, że jeszcze z tego się pośmiejemy. Kto wie, czy nawet nie w pięciu, bo być może także dwaj Patriarchowie i Prorok chętnie usłyszą tę historyjkę...

#### **Blondynki w seminarium duchownym.**

Byłem „seniorem” kleryków, kimś w rodzaju przewodniczącego samorządu. Moim zadaniem było tworzenie imiennej listy prac i urzędów (zadań) kleryków w każdym tygodniu. Co jakiś czas kilku z nas musiało w ramach rekreacji, podczas której chętnie grano w siatkówkę, zając się dość niewdzięczną i męczącą pracą. Gdyby ktoś z zewnątrz posłuchał takiego ogłoszenia w seminarium, mógłby być nim zszokowany: X, Y i Z „mają iść do blondynek”! Tak określaliśmy wiązanie i wrzucanie na wóz świnek, tuczonych między innymi na odpadkach z kuchni. Gdy musiałem to ogłosić, najchętniej powierzałem to zadanie swojemu zastępcy, a sam wcześniej wychodziłem z obiadu, gdyż wiedziałem, że wyczytani będą niezadowoleni: „Dlaczego ja? Przecież niedawno byłem! Czemu nie inni...?” Nie pomyśleli, że niektórzy z tych „innych” byli mieszcuchami i na widok świnki, szczerzącej w uśmiechu zęby, uciekaliby w popłochu!

#### **W PRL-u wyprawa kleryków do kina.**

Gdy ktoś bardzo mi zachwalał film „Bitwa o Anglię” ze słynnym Dywizjonem 303, pomyślałem, że warto by było zaprowadzić do kina moich kolegów. Poszedłem z tą propozycją do księdza rektora seminarium. Zdziwiło mnie, że tak łatwo się zgodził: „W czym widzi problem? Niech sobie obejrzą!”. Czym prędzej to ogłosiłem, zebrałem od chętnych pieniądze i kupiliśmy bilety. Nie upłynęło wiele czasu, gdy zerwała się burza: ksiądz rektor uświadomił sobie (czy ktoś mu uświadomił), że zgodził się nie na obejrzenie filmu w telewizji (wtedy i o takie pozwolenie trzeba było prosić), lecz w największym miejskim kinie! Musiałem jakoś tak lawirować, żeby nie wymógł na mnie zwrotu biletów, którego z początku się domagał, i uznał fakt za dokonany. I oto w kinie zaroilo się od sutann, czego Siedlce nigdy dotychczas nie widziały!

I pomyśleć tylko, że teraz w ekran domowego kina, skacząc po setkach kanałów, wpatruje się większość duchownych, z zakonnikami włącznie... Wydaje im się, że już nie ma nad nimi żadnego „rektora” ani świadka, a tymczasem całe życie, nawet najmniejsze jego drobiazgi, uważnie rejestruje Niebo, ale niestety i piekło. A to już śmieszne nie jest!

#### **Stary ser i muchy jako smakołyki.**

Moi koledzy klerycy, pochodzący ze wsi, przywozili sobie z domu smakołyki, np. kopę jajek, a i rodziny uzupełniały ich zapasy. U mnie w domu się nie przelewało i musiałem sam sobie radzić. Gdy więc, najczęściej raz w tygodniu, na stole seminaryjnym pojawiały się ser i masło (na co dzień był tylko chleb ze smalcem i kawa), chowałem sobie cząstkę do wspólnej szafy na korytarzu i przez kolejne dni je zjadałem. W domu ze zgliwiałego sera, podgrzewanego z kminkiem, robiliśmy coś wspaniałego, więc zapach starego sera nie był dla mnie przykry, natomiast dla kolegów ze wsi, którzy wszystko mieli zawsze świeże, okazywał się chyba czymś trudnym do zniesienia. Gdy z szafy wносиłem do refektarza talerz z kilkudniowym serem, zatykali ostentacyjnie nosy, a bywało, że mijając tę szafę wyrzucali z niej mój smakołyk...

A co do much – zaczęło się chyba od tego, że jedna z nich utopiła się w obiadowej zupie i kolega ze wstrętem odsunął talerz od siebie. Widząc to marnotrawstwo poprosiłem, żeby wyłowiono i podano mi tę muchę, położyłem ją na języku i połknąłem z taką miną, jakbym doznawał rozkoszy podniebienia. Wyczyn ten stał się na tyle sławny, że potem kilka razy oczekiwano ode mnie powtórki. Kleryk niósł przez cały

refektarz złowioną muchę, a ja ją połykałem, nie widząc w tym niczego niewłaściwego – przecież była czysta, skoro wykapała się w zupie! Gdyby ktoś wtedy udzielił mi życzliwej rady: durniu, nie rób z siebie błazna! – może bym posłuchał, ale nikt taki się nie znalazł. Podobno wszystkie nasze uczynki zapisane są w naszej Księdze Życia, więc zastanawiam się, w jakiej rubryce i po której stronie zapisał mój Anioł Stróż zjedanie much... Może dołączył jakiś swój komentarz? Niedługo się o tym przekonam.

### **Karnawał w seminarium duchownym.**

Na stole pojawiały się pączki, a w zacisznych kąciach seminaryjni komicy ćwiczyli swoje role. Narastała atmosfera tajemniczości i radosnego oczekiwania na kończący karnawał pogodny wieczór – z grecka „eutrapelia”, a po naszymu po prostu „ostatki”. Wszystkie teksty, a jakże, musiały przejść przez cenzurę, jednak ksiądz cenzor do końca nie wiedział, jak to się rozegra na scenie. Gdy w pierwszych krzesłach zasiedli zaproszeni goście – nasi księża profesorowie – wśród nich napięcie rosło, gdyż było dla nich tajemnicą, który z nich zostanie wzięty na kiel i w jaki sposób. W takich sytuacjach trudno być na luzie, a tylko prawdziwa pokora nie boi się odrobinę uszczypliwych dowcipów...

Bywało różnie, ale zwykle jednym z obiektów zainteresowania kleryków był sam ksiądz rektor, którego styl wypowiedzi bywał przez nich naśladowany, gdy np. wspominali wycieczki z nim brzegiem morza (na takiej i ja byłem). Ten sam rektor, za którego panowania udało się dokonać wyłomu w tradycji i napełnić sutannami miejskie kino. Gwoli prawdy dodam jeszcze, że ten wyłom był tak wielki, że nie mógł się dokonać bez kontaktu z księdzem biskupem, panem życia lub śmierci pomysłu kinowego. Na szczęście, jak cesarz w starożytnym Rzymie, biskup uniósł kciuk w górę i pomysł ocalał.

Ksiądz rektor znany był z pogody ducha, którą czerpał chyba z dużej żółtej obiadowej główki. Gdy na stoliku dyżurnym na końcu refektarza pojawiała się cebula, od razu wiedzieliśmy, kto będzie czuwał nad nami tym razem. Wspominano przez lata cierpliwość, jaką wykazał się w ciemnościach klatki schodowej, gdy nagle kleryk... wskoczył mu „na barana”! Dowcipniś dopiero na dole schodów zorientował się, na którym karku zjechał na dół... Nasz „Szef”, jak go nazywaliśmy, nie gniewał się, gdy ze sceny zeskoczyła niewidzialna tresowana pchła, wypuszczona z pudełka, lecz na tyle zbuntowana, że mimo nawoływania wrócić do niego nie chciała. Dała się złapać... dopiero na nodze rektora! Nie wszyscy księża byli jednak, jak on, odporni na takie polowania. Już nie pamiętam, ale być może któryś z nich podniósł tak głośny protest i tak się oburzył, że odtąd „ostatki” obumarły... Jak przez mgłę chyba pamiętam, że uczestniczyły w nich także siostry bezhabitowe, dla których tenże refektarz – jedyna duża sala – był stałym miejscem pracy. Wybuchy śmiechu były więc damsko-męskie.

### **Adept jogi i jego biskup.**

Polubiłem te postawy („asany”) już w seminarium duchownym i kontynuowałem je w czasie studiów, jednak w końcu wpadłem w pułapkę medytacji w dalekowschodnim stylu, która poraniła moją duszę i przed którą wszystkich ostrzegam. „Stanie na głowie”, a właściwie na głowie i na łokciach jednocześnie, bywało dla mnie naprawdę dobrym i szybkim wypoczynkiem. Praktykowałem je także jako diakon, towarzysząc swojemu biskupowi w czasie wizytacji kanonicznych różnych parafii. Pewnego razu zdarzyło się, że biskup zastał mnie niechcący w takiej odwróconej postawie... na swoim własnym łóżku! „Co ty robisz, diakonku?!” – zawołał. Nie pamiętam, co mu wtedy odpowiedziałem, ale gdy niedługo spotkam go w Niebie (to właśnie on mnie ostatnio do niego przywołuje), przypomnimy sobie na wesoło to zdarzenie. W Niebie joginów już nie ma, a i odpoczynek nie jest tam potrzebny, gdyż nic nikogo nie męczy ani nie zagraża jego zdrowiu. Ziemiańskie by na to powiedzieli: „Tylko żyć, a nie umierać!”, jednak tam byłoby to zupełnie bez sensu...